



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: KUKŁY PLUS TECHNIKA

W ostatnio oglądanym u nas filmie Stevena Spielberga sympatyczny i zabawny, choć pokraczny – jak na nasze ziemskie gusta – przybysz z Kosmosu, „E.T.”, zachowuje się jak autentycznie żywy stwór: porusza się, chodzi, wykonuje szereg skomplikowanych czynności manualnych, na jego „twarzy” wyraża się cała gama uczuć... W pewnym momencie zapominamy, że oto mamy przed sobą po prostu kukłę, konstrukcję zbudowaną z metalu i plastyku, coś, co z kształtu przypomina wynaturzoną sylwetkę ludzką, „coś” wypełnione od wewnątrz skomplikowaną aparaturą elektroniczną. Aparaturą - obsługiwaną i „zdalnie kierowaną” przez cały sztab wybitnych fachowców. Iluzja jest kompletna. I to jest właśnie chyba główne zwycięstwo Spielberga w tym filmie. Nad „cudami techniki” i nad publicznością.

Co za niezmierny postęp od czasu Georgesa Meliesa, od pojawienia się w kinie pioniera filmu lalkowego, naszego rodaka Władysława Starowicza.

Kiedyś filmy lalkowe, lub z udziałem kukieł występujących razem z „żywymi” aktorami, kręcono właściwie systemem chałupniczym, często w „pracowniach” reżyserów urządzonych w ich własnych mieszkaniach. Kiedy Starowicz w 1925 r. zrealizował we Francji film „Oczy smoka”, oparty na chińskiej bajce - właśnie z udziałem kukieł i aktorów żywego planu - publiczność szalała z zachwytem, pasjonując się nie tylko stroną artystyczną filmu, ale także świetnymi, nowatorskimi wówczas, rozwiązaniami techniczno-trickowymi reżysera. Dzisiaj zachwycamy się potęgą iluzji stworzonej na ekranie, ale też główne hołdy składamy reżyserowi, nie dostrzegając w czołówce filmu tych coraz bardziej istotnych w epoce kina-baśni informacji w rodzaju: „Efekty specjalne: Industrial Light and Magic. Postać ET - Carlo Rambaldi; oczy ET - Beverly Hoffman; ruchy ET - Caprice Rothe”. Dzisiaj iluzja filmowa to nie - artystyczne chałupnictwo, ale cały skomplikowany przemysł.

W 1933 r. dwaj amerykańscy reżyserzy, Merlan C. Cooper i Ernest B. Schoedsack, zrealizowali film pt. „King Kong”. Była to opowieść o odnalezionym gdzieś na odległej wyspie gigantycznym gorylu, który w pewnym momencie porywa piękną białą dziewczynę, a następnie zakochuje się w niej. Po beznadziejnej walce z atakującymi go samolotami, King Kong ginie na szczycie najwyższego nowojorskiego wieżowca.

Film wzbudził niebywały entuzjazm wśród publiczności. Głównie właśnie z uwagi na postać doskonale - jak na tamte czasy - skonstruowanej i świetnie animowanej ogromnej kukły-goryla. Skonstruował tamtego King Konga najwybitniejszy wówczas specjalista od tzw. efektów specjalnych, Willis O'Brien. Ale nie tylko sama technika się tutaj liczyła: w czterdzieści trzy lata później, po premierze remake'u „King Konga” dokonanego przez Johna Guillermina, dziennikarz amerykańskiego „Newsweeka” napisze: „(...) Kong z roku 1933 był tworem zespołu zdumiewających indywidualności, barwnych fantastycznych utalentowanych, wyposażonych w twórczą niewinność wyobraźni, która pobudza fantazją widowni od ekspedientek po filozofów. Merian C. Cooper i Ernest B. Schoedsack byli rycerzami fortuny, pionierami lotnictwa, podróżnikami, wrażliwymi awanturnikami z żyłką do maszyn, zwierząt i ludzi: byli poetami akcji. Reżyser De Laurentiis, John Guillermin jest sprawnym rzemieślnikiem, który kieruje małą armią wytrawnych techników, rozwiązując trudności, jak to czynił w „Płonącym wieżowcu”. Ale mistyczna niewinność Konga nr 2 wyparowała i jak to się dzieje w sztuce popularnej naszych czasów dzieło to świeci fałszywym blaskiem”.

Otóż to! Sama technika nie wystarczy. I to jest kolejny atut Spielberga jak zresztą również twórcy „Gwiezdných wojen” George Lucasa czy realizatora „Imperium kontratakuje”, Irvina Kershnera; ich „nafaszerowane” techniką filmy są równocześnie pełne swoistej poezji; niezwykłości i baśniowości przetworzonej w sposób, nieraz bardzo może „naiwny”, ale przecież artystycznie autentyczny i twórczy.

Trzeba jeszcze powiedzieć, że Amerykanów wyprzedzili w realizacji filmów z ożywionymi, fantastycznymi kukłami - Japończycy. Od chwili, kiedy w 1954 r. reżyser Inoshiro Honda stworzył „Godzillę” rozpoczął się na ekranach zwycięski pochód pseudoprehistorycznych, pseudokosmicznych potworów uwielbiających destrukcję wszystkiego, co się znajdzie w ich zasięgu. Filmów - w rodzaju: „Godzilla contra Hedora”, „Mechagodzilla”, „Rodan ptak śmierci”, itp. Prymitywizm tych filmów, jak też w sumie prosta i mało efektowna animacja występujących w nich „przerażających” kukieł, sprawiały, że filmy te - przynajmniej u nas - określono jako obrazy dla najbardziej młodocianej widowni.

„Nowy wiatr” w dziedzinie tego gatunku filmowego powiał jednak dopiero wówczas, kiedy w 1975 r. młody amerykański reżyser Steven Spielberg przystąpił do realizacji swych mrozących krew w żyłach „Szczęk”. Opowieść o gigantycznym rekinie-ludojadzie nie odniosłaby sukcesu bez odpowiednio skonstruowanej kukły. Tutaj pierwsze skrzypce grał długoletni szef efektów specjalnych w wytwórni Walta Disneya - Bob Mattey. Skonstruował on trzy ośmiometrowej długości kukły, „prawostronną”- otwartą po lewej stronie dla łatwiejszego dostępu do ukrytych wewnątrz mechanizmów „lewostronną” oraz „pływającą” - do zdjęć robionych z góry. Skonstruowano nawet dwa specjalne zestawy zębów dla

mechanicznego rekina: miękkie, plastikowe używane w scenach z kaskaderami (kukła mogłaby naprawdę „zagryźć” przy jakimś technicznym niedopatrzeniu występującego z nią człowieka) oraz zęby twarde kiedy kręcono sceny ataku rekina na łódź. Resztę - przy odpowiedniej pracy kamer i zastosowaniu odpowiednich zdjęć trickowych - widzieliśmy na filmie. Realizując „E. T.” Steven Spielberg miał nie tylko doskonałych współpracowników, ale także cały pakiet doświadczeń z lat poprzednich oraz możliwość wykorzystania dalszych zdobyczy techniki trickowej. Stało się tak, jak u początków kina: film oparł się na tych zdobyczach, ale w efekcie przyczynił się także do dalszego jej rozwoju.

Pierwodruk: „Kamena”, 1985, nr 2, s. 10.